

Nie walę prawdy w oczy

Jan Kobuszewski ma jedną żonę (Halina Zembrzuska), jedną córkę i jednego wnuka, któremu rodzice nadali bardzo pretensjonalne imię - Jan.

Podczas ostatniej wizyty Teatru „Kwadrat” w Londynie mieliśmy przyjemność rozmawiać z Janem Kobuszewskim.

Nie jest tajemnicą, że zasługą wyjątkowej frekwencji na wszystkich londyńskich przedstawieniach „Dwóch móg utrapienia” była nie tylko renoma Teatru „Kwadrat”, ale przede wszystkim pana nazwisko na afiszu. Nie może pan narzekać na popularność i uznanie także w kraju...

Kiedy pytali Marlona Brando, kogo uważa za najlepszego aktora, odpowiedział bardzo skromnie: „Jest nas paru”. Ale mówiąc poważnie, muszę przyznać, że odczuwam wyrazy sympatii ze strony polskiej publiczności w Wielkiej Brytanii. Jestem tutaj już nie pierwszy raz, może ósmy czy dziewiąty, mecze państwa swoją osobą czterdzieści parę lat, niedługo będzie pięćdziesiąt. Poza tym, wiele osób będąc w Warszawie przychodzi na przedstawienia do Teatru „Kwadrat”. Jest to taki mały tatrzyk o profilu *par excellence* komediowym, zdominowany przez naprawdę dobrych aktorów – nie mówię tu o sobie – znających się na komedii. Dobieramy repertuar tak, aby to nie był tylko sam śmiech dla śmiechu, ale żeby komedie – trochę z leżką, ze wzruszeniem – były bardziej wartościowe i choć trochę dydaktyczne.

Jak jest z naszym polskim poczuciem humoru?

Ja uważam, że niezłe. Tragedią jest to – teraz powiem przewrotnie – że skasowano nam cenzurę. Dopóki ona istniała, dowcip był bardziej wyrafinowany – z podwójnym, potrójnym, poczwornym denkiem. Dzisiaj prawdę wali się prosto w oczy i może dlatego kabarety podpadają. Teraz to nie jest tak śmiesznie jeśli się powie: „Pan jest głupi”. Trzeba to podać mu delikatnie: „Mnie się wydaje, że panu czegoś tam brakuje”. Niech się ludzie domyślają. Ja w moich występach kabaretowych i estradowych nie walę prawdy w oczy, tylko w dalszym ciągu staram się wsadzać, *excusez-moi*, szpilę w tyłek.

Jak pan wspomina telewizyjny Kabaret Olgi Lipińskiej, którego niewątpliwym filarem był popularny „Pan Janeczek”?

To była dla nas duża frajda. Dopóki nie ogłoszono stanu wojennego. Jeden z ostatnich kabaretów był w połowie nagrany i nie zdążyliśmy już go dokończyć. Potem ja się trochę porohorowałem, a później – szanując bardzo Olę Lipińską – nasze drogi się rozeszły. Ten przeciwnik, którego dzisiaj ona zwalcza, nie jest moim przeciwnikiem. A w kabarecie występuje się nie dla pieniędzy tylko dla jakiejś idei.

Dla tych, którzy żartowali sobie z władzy w PRL-u stan wojenny był okresem szczególnie ciężkim. Jak pan to odczuł jako aktor?

Były to trudne lata, ale bojkot telewizji i radia podjęty przez aktorów był jedynym wygranym strajkiem. Ówczesny premier mówił: „Na kolanach przyjdą”. Ale nie przyszli na kolanach, o nie, w żadnym wypadku. Graliśmy tylko w teatrze. Nie było łatwo, ale godność przede wszystkim. I musieli się poddać. Oczywiście, byli koledzy, którzy wylamali się ze strajku. Zawsze znajdzie się taka owieczka, która odpadnie od stadka. Teraz pewnie tego żałują. Szczególnie ciężko było na początku stanu wojennego. W styczniu dostaliśmy dwutygodniowy urlop z „Kwadratu”, który

był teatrem bojkotowanej przez nas Telewizji. Wracamy, a portierka płacze: *Nie ma teatru! – Co, spalił się? – Nie, zamknięto.* Dzięki Bogu mieliśmy przyjaciół, którzy nawet na Mazury przyjeżdżali z paczkami, wiktulami i jakoś się to przeżyło. Na Żoliborzu zaś – gdzie dotychczas mieszkam – była „Najjaśniejsza Rzeczpospolita Niepodległa”. Tam żeśmy knuli i spiskowali.

Od tego czasu minęło już kilka lat...

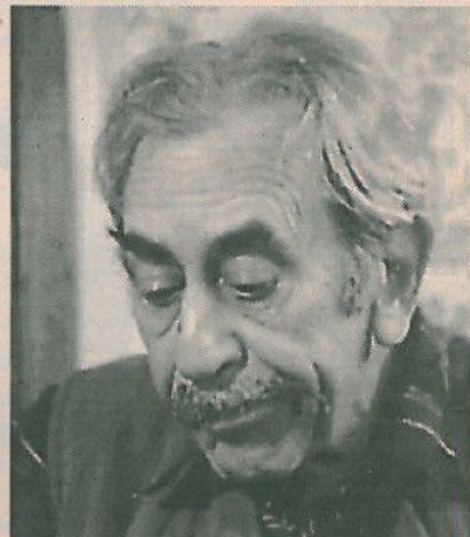
Twierdzę, że zmiany w Polsce idą w bardzo szybkim tempie, może nawet trochę za szybkim. Tragedia naszego narodu polega na tym, że tak jak wszyscy, przyzwyczajamy się do dobrego i zapominamy o tym, co było złego. Jednak, gdy myślę o Polsce, o tym co się z nami stanie, to jestem optymistą. Potrafimy konsolidować się w biedzie. Musimy tylko dążyć do tego, aby umieć zjednoczyć się w radości.

Czy pana życiowy optymizm i poczucie humoru mają związek z kreowaniem ról komediowych?

To pomaga. Ale wiele zawdzięczam moim wspaniałym nauczycielom komedii, od Tadeusza Fijewskiego poczynając. Miałem to szczęście, że poznałem sam kwiat najwspanialszych aktorów, wielkich ludzi teatru. Nawet pana Solskiego znalazłem, Zelwerowicza, który był moim nauczycielem, Brodzińskiego, Cwiklińską. Nie sposób wymienić ich wszystkich. Najwięcej nauczyłem się od Tadeusza Fijewskiego, który zawsze mi powtarzał: *Pamiętaj Jasiek, że w każdej komedii jest trochę tragedii.* Dlatego w komedii szukam leżki, a w tragedii trochę radości. Ja nie jestem aktorem komediowym. Raczej lirycznym, dramatycznym. Na przestrzeni lat grywałem wiele ról dramatycznych. A komedia to jest osobna wiedza sztuki aktorskiej. Reżyserzy i dyrektorzy teatrów stwierdzili kiedyś, że można mnie wykorzystywać także i w tym gatunku teatralnym.

Wspomniał pan wcześniej o zbliżającym się jubileuszu 50-lecia pracy scenicznej. Jakie były jej początki? Jak to się stało, że wybrał pan ten „diabelski zawód”?

Moi rodzice poznali się w latach 1915-1916 na scenie teatru amatorskiego. Mama grała w „Mężu i żonie” i „Świeczka zgasła” Fredry. Jej partnerem był Juliusz Maluszek – wtedy jeszcze mniej znany aktor – czyli Osterwa, a suflerował mój tata. W domu panował zawsze niesłychany kult dla teatru. Pamiętam, że moi rodzice kilka razy w miesiącu chodzili na premiery do opery i teatru. Aktorką miała zostać jedna z moich dwóch siostr – Maria Halina Kobuszewska (obecnie profesor anatomopatologii). Tak przynajmniej zawirował Zelwerowicz. Ale ona wybrała medycynę. Ja natomiast miałem wstręt do matematyki i wszystkich przedmiotów ścisłych, a lubiłem język polski i literaturę. Myślałem, że aktorstwo to jakiś taki łatwy zawód: człowiek nauczy się na pamięć wierszyka czy roli i już. W 1956 roku ukończyłem Wyższą Szkołę Teatralną, a wcześniej w 1952 r. Szkołę Dramatyczną Teatru Lalek. To już 46 lat minęło. Okazało się, że to nie takie proste. Aktorstwo to połączenie pracy umysłowej i fizycznej. Ponadto, każde przedstawienie jest jedną wielką niewiadomą. Nie można przewidzieć jak publiczność zareaguje. Irena Kwiatkowska nauczyła mnie tego, że jeśli widownia słabo reaguje, to trzeba ciężiej popracować, pomóc jej. Przecież my, aktorzy świad-



*Czytelniku, w Dzienniku Polskim
zyczą
radości zdrowia
i uśmiechu
Jan Kobuszewski*

czymy usługi. Jak mawiali moi światli koledzy: Teatr to co najmniej jeden aktor i jeden widz. Publiczność jest bardzo surowa. To ona, a nie krytycy, pisze recenzje. Zawsze mam tremę. Gdy byłem młodszym aktorem może była ona mniejsza. Teraz już żał stracić zaufanie publiczności.

Nie żałuje pan chyba, że został aktorem?

Nie. Dzięki mojej pracy zawodowej nigdy nie siedziałem za biurkiem. Zwiedziłem cały świat. Byłem ponad trzydzieści razy w Ameryce, występowałem w Afryce, Australii, Kanadzie, zjeździłem całą Europę. Poznałem wielu interesujących ludzi. Gdybym raz jeszcze miał podejmować decyzję, wybrałbym aktorstwo. Żeby tylko urodzić się już z tą wiedzą i umiejętnościami, które obecnie posiadam.

Bardzo dużo pan występuje w kraju i za granicą, ponadto reżyseruje. Jeśli znajdzie się w końcu czas na odpoczynek, to co pan robi?

Najchętniej nic. Nic nierobienie jest wspaniałym zajęciem. Najpierw sobie pośpię, potem poczytam, a później robię wszystko to, co sprawia mi przyjemność. Czyli mam mnóstwo do roboty. Majsterkuje, jestem stolarzem, ślusarzem, mechanikiem samochodowym i elektrykiem. Ale zupełnie nie znam się na elektronice. Nie naprawię telewizora czy radia, a komputer, to już czarna magia. Mam zdolności kulinarnie, ale nie zdradzam ich przed żoną. Raz ugotujesz, zawsze będziesz gotował. Mam lepsze zajęcia – jedzenie.

Dziękujemy za rozmowę i życzymy smacznego wypoczynku.

*Rozmawiali Małgorzata Staszczak
i Tomasz Walkiewicz*